

665

„Dom otwarty”

Gdy komizm takiej sztuki jak „Dom otwarty” (1883) stygnie i tężeje, rodzi się groteska a la „Operetka” Gombrowicza... Z takiego m. in. założenia wyszli bodaj twórcy poznańskiej inscenizacji tej na pozór płytkiej „štucki”. Ponoć na ścianie garderoby L. Solskiego w Teatrze Krakowskim autor tak się właśnie uwiecznił: „Michał Bałucki — co pisał štucki”. Uwieczniła go nam moderna jako przykład tradycjonalizmu, prymitywu, niemalże ma toletwa. Dodajmy — przypisuje się modernistom spowodowanie nader krzywdzącymi sądami samobójstwa tego pisarza w 1991 r. Czy fakt ten nie byłby dostatecznym powodem, żeby wreszcie fenomen bałuckizny przeświecić na nowo?

Podjął się tego zadania reż. Janusz Nyczak wystawiając w Teatrze Nowym (premiera: 18 XII 1983 r.) „Dom otwarty” w otwartej, dowartościowującej interpretacji. Domiar interpretacji polega tu głównie na wpisaniu tej sztuki w swoisty ciąg tradycji teatralnej od „Wesela” poczynając (dostrzeżono swoiste prekursorstwo Bałuckiego — ściślej ludowy dramaturgiczny drugi akt — względem arcydzieła Wyspiańskiego), kończąc na „Operetce” Gombrowicza.

Nie trzeba tu było niczego na siłę dorabiać, przeinaczać. Pozostawiono przecież całą naiwność tezy Bałuckiego, że jednak lepiej pozostać w bezpiecznym kręgu rodziny, że mały realizm gruchających par, ich tylce radości i kłopoty są więcej warte niż eksperymenty obyczajowo-moralne i społeczne. Wykorzystano tylko integralny element „štucki” — zaszczeploną na pniu komedii obyczajowej gałąź karykatury i groteski — i podniesiono ją, że tak powiem, do kwadratu. Ta zaś kwadratura kola, kręgu obyczajowo-towarzystkiego nieoczekiwanie dała bal na sto dwa.

Karnawał z natury rzeczy stwarza układ taki, że wodzirej Fikalski (Wiesław Komasa) z całą sforą latawców, bawidamków, łowców pup, cnót i fortun nagle okazuje się ważniejszy niż jakaś tam głowa rodziny, niż zacne obywatelstwo. Hierarchie zostały oto odwrócone do góry nogami. Nogami, bo nie głową czy sercem, osiąga się sukces, szczyt powodzenia, szczyt

absurdalnej piramidy towarzysko-obyczajowej. Kto się w tej karnawałowej akcji znaleźć nie umie, idzie na aut.

Impreza, która — zgodnie z duchem czasu — miała odemknąć mieszczański dom Żelskich, okazuje się „męczącą maskaradą”. Całkiem tak jak w „Operetce” Gombrowicza (której akcja, przypomnijmy, dzieje się „coś tak około 1910-go roku”, gdy zatem również „Czasy niejasne, schyłkowe, złowrogie, i nie wiadomo ku czemu prze Historia”). Również ów przeciąg, cug niesamowity, „wiatr historii” — zapowiedź burzy, wyładowań znacznie większego kalibru niż bal, razem z serią innych rozwiązań wziął J. Nyczak z Gombrowicza. Jest to, moim zdaniem, twórczy wkład tego reżysera w interpretację Bałuckiego.

Romanie Koniecznej, z którą oglądaliśmy inscenizację poznańską, podobał się ściemniany początek i koniec przedstawienia, mniej zaś to dorabianie Bałuckiemu nosa, którego on mieć — jej zdaniem — nie mógł. Ale ściemnione wnętrza mieszczańskiego domu w scenach początkowych zapewne realistyczne (nie było przecież elektryki), w końcówce staje się metaforą, przenosi rzecz dość bląką w wymiar metafizyki. Oto już ponadczasowy (powoli suną w górę dekoracje) obraz niedojrzałości, nieprzystosowania, odmowy uczestnictwa w życiu społecznym (owszem, nie zawsze miłym, często pełnym pułapek) można sobie wstawić w dowolne ramy Historii, w dowolną Formę...

Teatr Nowy nie zrobił krzywdy Bałuckiemu, docenił go i dowartościował. Myślę, że warto na koniec wyliczyć przynajmniej kilka udanych kreacji. Oprócz wymienionego już W. Komasy podobali się publiczności Michał Grudziński (jako Wicherkowski), Maria Maj (jako Pulcheria), Janusz Michałowski (jako Fu Jarkiewicz), Jerzy Stasiuk (jako... Ciuciumkiewiczowa), Krystyna Feldman (jako... archiwista Ciuciumkiewicz). W sumie musiały lepiej wypaść figury najbardziej przejawskrawione, groteskowe. Karykatura i groteska, podkreśliły to jeszcze raz, ratuje przecież tę sztukę przed uwiadem, sprawia, że „Dom otwarty” można wciąż otwierać pekiem rozmaitych kluczy interpretacyjnych.

HENRYK KUBICKI